

ZACHĘTA

Zachęta! Mój Boże! Bez wątpienia wyjątkowe miejsce na artystycznej mapie Warszawy. Miejsce łączące kontynenty lepiej niż Islandia! Z jednej strony renesansowa fasada, egzotyczne przedmioty i ramiona szeroko otwarte na zamknięte, hermetyczne i niezrozumiałe wystawy – czysta Europa! Z drugiej strony Zachęta wciąż jest najbardziej znana z zastrzelenia Narutowicza, więc w jej powietrzu czuć także ducha Ameryki.

Zarządowi Zachęty to się jednak nie podobało. Dość tego! Nieustannie wypruwali sobie żyły, dbali o kontakty z kruchymi artystami do potencjalnej współpracy, wysyłali dziesiątki maili, setki, tysiące! Szukali, szukali i w końcu znajdowali interesujące eksponaty i prace wybitnych twórców. I to jeszcze pasujące pod tematy wystaw i cyklów, a mimo to w świadomości ludzi wciąż pozostawali oni w cieniu Niewiadomskiego, o Narutowiczu nie wspominając. Wyjątki, poza pracownikami, można byłoby policzyć na palcach siedemnastu rąk i nóg, z czego zaledwie trzy z nich dotknięte byłyby polidaktylią.

Zachęta musiała więc – nomen omen – zachęcić szersze grono ludzi do ugoszczenia w swoich progach, gdyż kiedyś śmierć była mendą, a dziś stała się biznesmendą. Wszystkie dotychczasowe próby rozreklamowania przybytku, których nie warto nawet przytaczać, kończyły się fiaskiem. Konto galerii jechało na oparach wirtualnej gotówki. Jednak dość niecodzienny zbieg okoliczności sprawił, że Plac Małachowskiego miał się z czasem zapełnić zaciekawionymi ludźmi i oczywiście misiami z Ursusa.

Zaczęto się od Herbaty. Michała Herbaty. Początek tej

historii nie ma nic wspólnego z Agentem Jej Królewskiej Mości, ale fajnie brzmi. Początek tenże nie był również w żadnej mierze ekscytujący, choć jest piwotalny względem reszty opowieści.

Otóż Michał Herbata, dwudziestoletni wówczas student technologii drewna w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, miał już dość drewna. Potrzebował odciążyć swój umysł od wykładawców, mahoniu i zbyt uporczywego grania w *Counter-Strike: Here we GO again!* po zajęciach. Jednocześnie w głębi trzewi odczuwał potrzebę spotkania się z formą sztuki wysokiej. Chciał również zdobyć kolejne punkty kapitału kulturowego, które pozwoliłyby mu obronić Obywatelską Rangę Kulturową *Gold III Tier*, a następnie wynieść go do *Platinum I Tier*. A to w starszej nomenklaturze odpowiadałoby zdobyciu Złotego Dzięcioła. Dlaczego, u licha, Dzięcioła? No właśnie. Przyznacie państwo, że *Cultural Tiers' System* jest znacznie prostszy i bardziej przystępny, a przede wszystkim bardziej zrozumiwały?

Ku zaskoczeniu Michała zakup biletu na rumuński bądź bhutański film w kinie studyjnym był mało opłacalny pod względem kulturowego kapitału – zaledwie dwanaście i trzydzieści siedem setnych punktu (dygresja: w kinematograficznym półświatku wymierny i namacalny gros punktów dawały tylko udziały w niektórych festiwalach, jak Nowe Horyzonty, Octopus Film Festival czy wciąż ogromnie kontrowersyjny Grand TikTok Video Festival, które największym fanatykom potrafiły przynieść niebotyczne czterysta punktów). Michał poszperał więc w Internecie, która aktywność szybko wyniesie go do wyższej rangi. Po godzinie spędzonej na porównywaniu i analizowaniu przeplatanych z prokrastynacją w postaci czytania sucharów (tylko dwa przyniosły mu satysfakcję), doszedł do wniosku, że optymalna

pod względem czasu i zaangażowania będzie dla niego wizyta w Zachęcie – sześćdziesiąt punktów za godzinną wizytę. W dodatku za bezcen, co wydawało się wyśmienitą okazją. Na pewno jesteście ciekawi, jakie dwa suchary przyniosły Michałowi satysfakcję, ale do tego jeszcze wrócimy.

W luźny pod względem uczelnianych zajęć dzień Michał Herbata po raz pierwszy w życiu przekroczył progi Zachęty. Jego oczekiwania wobec galerii sztuki znacznie rozminęły się z rzeczywistością. Jako żółtodziób w tym świecie oczekiwał eksponatów na kształt Muzeum Narodowego – uznanych obrazów, fotografii, rzeźb. Niekoniecznie w proporcjach takich, w jakich te dzieła występowały w Muzeum, ale mimo wszystko spodziewał się przedmiotów tego samego rodzaju. Tymczasem już na starcie powitała go niemal pajęcza sieć lin z zawieszonymi nań koralikami na wysokości chrząstki jego nosa. Michał Herbata uznał to za kompletnie chybioną dekorację powitalną. Jednak okazało się, że to praca niderlandzkiego artysty i performerera, Ruuda van Burgera.

Następna była okazała naklejka na białej ścianie. Rozrośnięta na półtora metra kwadratowego, przedstawiała ciemnopomarańczowe cegły przeplatane zaprawą murarską, imitujące budowę ściany. Była dobrej jakości, ale to wciąż była wielka naklejka, której, cóż, brakowało głębi, przynajmniej według Michała. *Dziura w ścianie* Jonathana Egga również nie przypadła mu więc do gustu.

Kłopoty miały się jednak dopiero zacząć. Umysł młodego studenta odbijał się od pieczołowicie hermetycznej sztuki. O ile rzeźba Anny Bjórdóttir, składająca się ze zwykłej brązowej kuli (zatytułowanej przewrotnie *To nie jest kula*), zdołała jeszcze wywołać u niego przelotne myśli: „Skoro nie kula, to może geoida? Albo podobna bryła o niezauważalnych gołym okiem różnicach?”. Tak każda kolejna praca przynosiła

mu nic ponad męczącą frustrację. Pusta sala z imitacją studni pośrodku. Migający neon *Beware of nails!* w pomieszczeniu wyłożonym mięciutkim różowym dywanem. *Fontanna życia* będąca ulepionym penisem w erekcji z sześcioma dodatkowymi dziurami na szczycie żółędzi. Karykatury europejskich polityków zamienionych w zwierzęta, podpisane zbiorczo jako *Folwark wegetariański*. Model wulkanu o owłosionych zboczach i kraterze o kształcie warg sromowych, w którego wnętrzu pulsowało czerwone światło. *Przestrzeń powietrzna*, czyli niewielki stalowy sześcian, na krawędziach którego wygrawerowano w dwunastu różnych językach zdanie „Zakaz lotu dronem!”. I wiele innych...

Czara goryczy przelała się dla Michała Herbaty zaledwie kwadrans od przekroczenia progu Zachęty. Wywołała ją praca urodzonego w Japonii Adama Kawy o tytule *Kamień z Oświęcimia*. Składała się ona z kamienia o zbliżonym do kolistego kształcie. Kamyk był malutki, nie dłuższy i nie szerszy niż trzy centymetry. W promieniu metra od niego nie było nic innego, dopiero w dalszej odległości znalazły się quasi-ściany, każda złożona z trzech płasko położonych na sobie desek. Całość przypominała płyciutki basen, w którym zamiast wody wylądowała sama jak palec skałka. To wszystko.

Na szczęście punkty kulturowe były przyznawane za spędzony czas, a nie za znajomość i zrozumienie przedmiotów wystawy, toteż Michał Herbata pokręcił się po salach bez celu przez kolejne czterdzieści pięć minut. I kto wie, być może to właśnie to pałętanie się sprawiło, że student poczynił kluczową obserwację – każdy autor eksponatów jakimś cudem nosił nazwisko związane z żywnością. W połączeniu z narastającą własną kulturową ambicją, szczerym pragnieniem zrozumienia sztuki, porażką w tym pragnieniu i szczęśliwym trafem, jakim było jego nazwisko idealnie pasujące do wystawy, wpadł na

genialny w swej prostocie pomysł.

Michał miał w sobie coś z perfekcjonisty, więc zawsze podczas rozważań nieustannie wrzucał mimochodem mentalne kamyki do ogródków. Po wyjściu z Zachęty postanowił wrócić tam parę dni później i, o zgrozo, urzeczywistnić swoje procesy umysłowe poprzez umieszczenie prawdziwego kamyka w sali z *Kamieniem z Oświęcimia*. Jak pomyślał, tak też zrobił. Chcąc jednak uniknąć ryzyka związanego ze zwykłym, przypadkowym sprzątnięciem kamyka-intruza, postawił koło niego małą karteczkę z przygotowaną zawczasu wizytówką:

DER AUSCHWITZROCKE

M. Herbata, rok nieznany

I tak oto powstała największa od lat prowokacja w polskim świecie artystycznym, a w jej bezpośrednim następstwie – burza z piorunami godnymi błyskawic Hefajstosa. Jej zasięg wykroczył daleko poza twórczy Olimp i jego filie, czyli galerie sztuki. Skrętnie skorzystał z tego szef zarządu Zachęty, Krystian Cukier, co i rusz pojawiając się w mediach i udzielając nic nieznających wywiadów. Jego nazwisko stanowiło zarazem kompletne, jakże trywialne i rozczarowujące rozwiązanie zagadki dotyczące powiązania między nazwiskami artystów.

Ci z was, którzy znają język niemiecki, na pewno zauważyli, że *Der Auschwitzrocke* nie jest poprawnym tytułem. Człon *Rocke* nie desygnuje w niemieckim kamienia; zamiast tego używa się oczywiście słowa *Stein*. Jednak błąd w sztuce jest błędem płynnym, rozcieńczonym, często do tego stopnia, że w bezpośrednim porównaniu leki homeopatyczne stają się rodzeństwem zagęstników. Tak też się oczywiście wydarzyło i

tym razem.

Teorii, które pojawiły się na temat wspomnianego błędu, pojawiło się multum w ciągu ledwie kilku godzin od dostrzeżenia nieproszonego eksponatu. Że autor celowo popełnił błąd w języku niemieckim, by podkreślić lęk pośród ludności obawiającej się najeźdźcy. Że kamień jest osobny, z boku sali, niby przypadkowy dodatek, tak jakby nasza pamięć o Auschwitz również uległa marginalizacji. Że data nieznaną oznacza z jednej strony, że to wydarzenie mimo wszystko zawsze będzie w nas żyło, a z drugiej strony wskazuje na warunki, z jakimi obozowicze musieli się zmagać. Dla nich jakby czas przestał płynąć. Byliśmy daleko od Auschwitz, ale ten problem nie był tu wcale mniej ważny. Dobrze, że trafił na widok publiczny.

Eksperti skupili jednak swoją uwagę na błędzie w tytule. Jedną z najciekawszych teorii suponował Zygmunt Hoffmannberger, ekspert od germańskiej sztuki nowoczesnej, właściciel niesymetrycznej koziej bródki, doskonały kucharz i dogłębny znawca przyjaciółki żony inżyniera Góralskiego:

– Błąd jest błędem w swej istocie. Zaprzeczyc się temu nie da – rozpoczął swój wywód Hoffmannberger. – Przypomnijmy więc sobie, że do jego nieodzownych części składowych należy możliwość czerpania nauki z tychże. Błąd jest tutaj celową sygnalizacją i subtelnym drogowskazem umieszczonym przez autora. Sugeruje on, by podążać nigdy nieutartym szlakiem i przypominać spostrzegawczym i dociekliwym ludziom, że obozy koncentracyjne były błędem. Nazizm był błędem. Druga wojna światowa była błędem. Mistrzostwo zwięzłości w zwięzłym mistrzostwie. Nawet nie jedno słowo, a jego połowa, tercja, ćwierć; tyle wystarczyło, by móc wspominać o sprawach najcięższych. Oto jest właśnie mistrzostwo lakoniczności! Fragment słowa, który najbliższy

jest milczeniu. Stanowi część graniczną, próg liminalny ludzkiej percepcji myśli słownej, drukowanego Charona przepływającego przez Styks, przeprowadzającego w tamtych czasach ludzkie życia pod piekielnym szyldem *Arbeit macht frei*. Jeśli mamy przypominać o Holokauście, to właśnie w taki sposób. – Hoffmannberger zakończył wypowiedź jakże wymownym, kilkunastosekundowym milczeniem przypominającym skupioną modlitwę za dusze zmarłych.

Na inny, równie ciekawy aspekt artystyczny omawianego błędu wskazała z kolei Teresa Majer, doktor językoznawstwa i wicemistrzyni Polski kobiet do lat szesnastu w szachach szybkich:

– Błąd w translacji tytułu to istne percepcyjne skrzyżowanie. Jego lingwistyczne konsekwencje interesują mnie w sposób kompletnie holistyczny, poczynając od decyzji zatytułowania tej pracy w języku niemieckim. W żadnym stopniu nie uważam się za ekspertkę w materii wspomnianej mowy, ale rozumie się samo przez się, że był to w tym straszliwym historycznym czasie język wroga i oprawcy. A jednak to na ten język zdecydował się twórca lub twórczyni, tytułując eksponat. Niepoprawność tytułu sugeruje istnienie podmiotu może nie tyle lirycznego, co raczej, powiedziałabym, dyplomatycznego. Istnienie kogoś, kto, co prawda, nie zna języka niemieckiego, ale wyciąga rękę. Należy się jednocześnie koniecznie wystrzegać interpretacji, w której wspomniana ręka wyciągana jest na zgodę. Nie jest to zaproszenie do pojednania, a raczej załączek wspólnej mowy i przyzwolenie na przeprosiny. Minął cały wiek, relacje polsko-niemieckie zdążyły się w tym czasie wielokrotnie zmieniać, a ostatnie parędziesiąt lat to okres przyjaznej stabilizacji. Praca Herbaty wywierca niemal niewidoczną dziurę w tych relacjach. Odślania niezagojone blizny i pozorność ugody, prezentuje prawdziwą

skalę zdarzeń i skutków, jakie przyniosła za sobą druga wojna światowa i nazistowskie obozy koncentracyjne na terenach okupowanej Polski. *Der Auschwitzrocke* każe nie tylko przemyśleć stosunek między narodami, między narodem niegdysiejszych ofiar i niegdysiejszych katów, ale również go zrewidować w sposób zupełnie inny od głównego nurtu politycznego.

Powyższą opinię skrytykowała Daniella Menella, pochodząca z Włoch socjolożka i miłośniczka sztuki oraz tanich alkoholi. Zwróciła uwagę na to, że to zbyt daleko idące wnioski, a wspomnianą „wyciągniętą rękę” wręcz powinno się interpretować tak, jak nie chciała tego Majer, czyli jako zwykły gest podtrzymujący zgodę i pojednanie.

Jednak żadna z powyższych opinii nie trafiłaby do publicznych uszu, gdyby nie materiał opublikowany przez siódmego, najczęściej oglądanego w kraju tiktokera i twórcy internetowego, Hardkor Koxa, w którym dołożył on drwa do pieca, oblał benzyną i przyprawił materiałami wybuchowymi:

– No, ludzie! Ja naprawdę rozumiem, że ci znawcy mają magisterki, są po doktoratach, że pewnie zdobyli taką wiedzę, o której my nawet nie wiemy, że jest. Ale kurwa! No, kurwa! Jak nikt ze wspomnianych ekspertów nie mógł odnotować, że *Der Auschwitzrocke* zostało umieszczone zaraz obok *Kamienia z Oświęcimia* Adama Kawy?! Przecież to fakt kruszjalny i całkowicie zmieniający istotę fingów (liwimy w poważnym świecie?!) *Der Auschwitzrocke* to odpowiednik nagrania odpowiedzi w Internecie podczas jakiejś dramy! Dwóch typów (mam nadzieję, że Herbata to facet, inaczej to wiadomo, typ i typiara) się kłóci i młóci i wałą w siebie kolejnymi wideo w postaci... Pfff... Kamyczków! Tak, kamyczków. Tego rodzaju drama właśnie dzieje się w Zachęcie! (Liwimy w poważnym świecie?!) Herbata spojrział (jeszcze raz przepraszam, jeśli

Herbata jest kobietą) na pracę Kawy i stwierdził pewnie coś w stylu, że nie, nie, nie, nu, nu, nu, tak to nie może wyglądać, i umieścić swoją pracę (a w zasadzie to swojego kamyczka) w spejsie dotąd zajmowanym przez Kawę. No i nastąpiła wojna, bo mamy dwie prace wykonane w bardzo podobny sposób (abstrahując od jego chujowości) dotyczące tego samego topiku. Co teraz? Teraz trzeba trzymać hend na pulsie i fokusować się na tym, co powie Kawa, a potem co powie Herbata, i tak do zajebania całej sprawy albo ich samych.

W ciągu kilku dni, głównie dzięki materiałowi Hardkor Koxa, Herbata stał się celebrytą, a ludzie nawet całkowicie niezwiązani ze sztuką współczesną zadawali sobie pytanie, które zdawało się odwieczne: Kawa czy Herbata? Bywały przypadki, że dziennikarze chcieli wyciągać studenta technologii drewna na wywiad w środku wykładu, w którym uczestniczył. Zmusiło to wykładowców do tymczasowego zamykania drzwi od sali na zasuwę i sugestii, by studenci nie wychodzili na siku.

Michał z kolei świetnie się bawił podczas niespodziewanego skoku popularności i gadał do kamer jakieś dyrdymały wymyślone na poczekaniu. Jednego dnia był synem znawców sztuki, którzy wtłoczyli mu uszczypliwą prowokację w krew, innego dnia wspominał o kłócących się aniołku i diabłu siedzących mu na ramionach – posłuchał się diabełka sugerującego, by popełnił błąd w tytule. Jeszcze innego dnia porównywał swoją strategię artystyczną z dojrzewającą trzy lata gorgonzolą (wtedy właśnie polski prezydent internetowy przyznał mu Order Trolla Pierwszej Klasy). Dopiero po latach Michał Herbata przyznał oficjalnie w rozmowie, że całe to *Der Auschwitzrocke* to oczywiście gównem prawda. Po prostu nigdy nie uczył się niemieckiego i był przekonany, że „kamień” po niemiecku to *Rocke*, a nie *Stein*, a cała ta prowokacja wzięła się

z frustracji spowodowanej niedostępnością hermetycznej sztuki wystawianej w Zachęcie.

Lata mijają jednak wolniej niż dni, a wykonanie następnego kroku należało do nikogo innego, jak do samego Adama Kawy. Gdy najgorętszy upał mózgowi związany z dramą nieco osłabł, kastę dziennikarzy nagle olśniło, że może wypadłoby dowiedzieć się zdania drugiej strony? Zagrano więc w bierki i przegrany stażysta został zadziobany trójzębem i wyniesiony na łopatkach z biura na ulewny deszcz i wywiad z Kawą, skądinąd uznanym w gronie sztuki współczesnej nazwiskiem, tworzącym swoje dzieła niemalże od ćwierćwiecza.

Adam Kawa zaprosił mokrego od deszczu stażystę do środka swego domku w północnym Ursusie (Kawa od kilku lat preferował towarzystwo misiów, których sama obecność wielce go inspirowała). Wiele można się było spodziewać po adeptach dziennikarstwa, ale nie takiej zgromy, z jaką rozpoczął wywiad biedny stażysta:

– Jest pan autorem pracy *Kamień z Oświęcimia*, która jest łądząco podobna do *Der Auschwitzrocke* Herbaty. Nie obawia się pan bycia posądzonym o plagiat?

Ręka Boska broniła biednego stażystę w tym sensie, że jeśli Kawa wykazywałby jakiegokolwiek skłonności do agresji, stażysta w najlepszym wypadku topiłby się teraz w kałuży obok studzienki kanalizacyjnej. Pan Adam był jednakże nadzwyczaj spokojnym człowiekiem, być może nawet zbyt spokojnym. Był nawet w stanie tak elementarny brak wiedzy wytknąć, nie podnosząc głosu bardziej niż to potrzebne. Nie zmieniło to faktu, że dalsza część wywiadu była już spalona – Kawa odpowiadał zdawkowo lub nie na temat, co było oczywiście reakcją na fatalne *faux pas* stażysty.

W Internecie drama może rozgrywać się każdego dnia z

prędkością Formuły 1 dzięki nowym filmikom, a precyzyjniej – dzięki łatwości w ich produkowaniu i umieszczaniu w wirtualnej sieci. Świat sztuki nowoczesnej pod tym względem rozwijał prędkość kulawego żółwia na lodzie – na kolejną odsłonę konfliktu trzeba było czekać pół roku. Sprawa zdążyła już wygasnąć niczym libido trupa, tylko sam jeden smutny Kawa jeszcze o niej nie zapomniał. Po kilku miesiącach intensywnego czytania czasopism o sztuce oraz marszczenia brwi podczas spacerów na łonie natury, wymyślił wreszcie ripostę, którą mógł się posłużyć.

Minął kolejny miesiąc i w przestrzeni Zachęty pojawiła się nowa praca Adama Kawy: w największej sali galerii swoje miejsce znalazł dwumetrowy kopiec z gruzu i kamieni. Ponoć aż dwunastu robotników zasuwało z pełnymi wiadrami i taczkami przez parę godzin, by przygotować tę jakże niecodzienną instalację. Pytanie: „Kawa czy herbata?” powróciło na usta wielu obywateli zainteresowanych odkurzonym konfliktem, a Kawa szybko musiał się zacząć tłumaczyć z kupy kamieni:

– Przez te sześć miesięcy nie ustawałem w pracach koncepcyjnych – tłumaczył powoli i z pełnym przekonaniem, że nie można było na to wszystko wpaść szybciej. – To był czas trudny, czas okrutny, czas samotny. Każdy kamień z osobna symbolizuje pojedynczą udrękę z całego tego gruzu, jaki przeszedł mi przez głowę przez ostatnie miesiące. Najbardziej druzgocący był ten medialny rozgłos, którego by nie było bez mojej pracy, a który zarazem w ogóle ominął moje istnienie. Zrozumiałem, że moje subtelne prace nie noszą w gruncie rzeczy choćby najłżejszych znamion znaczenia. To śmierć mojego minimalistycznego podejścia, kres pracy twórczej, zgniecionej przez to nieprzyzwoite, szumne gruzowisko, nic ponad przzerośnięty nagrobek. Nie można już inaczej zwrócić

uwagi ludzi niż poprzez kontrowersję lub desperacki krzyk. Mam ochotę uciec do Japonii i nigdy nie wrócić.

Do Herbaty prędko dotarł ten przykry wywiad z Kawą i poczuł się z początku nieswojo, z czasem po prostu źle. Chciał tylko zrobić psikusa i dać upust swojej goryczy, a tymczasem naraził, Bogu ducha winnego, człowieka na jedną z najcięższych kar – bezsilność wobec niesprawiedliwego losu.

Społeczeństwo oczywiście żądało dalszej części tego nędznego ping-ponga, zakończonego najlepiej pojedynkiem Fame MMA, ale Michał miał te oczekiwania tam, gdzie nie docierało słońce i odświeżacz powietrza. Poza światłem fleszy zaprosił Kawę do baru, zanim ten opuścił Polskę na rzecz Kraju Kwitnącej Wiśni.

– Zamiast kawy czy herbaty po prostu walnijmy wodę.
No i walnęli wodę tak, że rozstali się w przyjaźni.

A wracając jeszcze do tych dwóch sucharów, które przypadły Michałowi do gustu, to jeden z nich brzmiał tak:

– Jak nazywa się kobiecy bat?
– Herbata.

A że Michał Herbata lubował się także w specyficznym czarnym humorze, drugi suchar dotyczył Oświećmienia. Dostałem jednak informację od redaktora, że prędzej jego córeczce wyrośnie trąba, niż puszczą to do druku. Jeśli więc ktoś chciałby go usłyszeć, winien załatwić sobie zawczasu strój słonia pasujący dla przeciętnego wzrostu ośmiolatki.

Były to ostatnie suchary w życiu Herbaty, które przyniosły mu satysfakcję. Po wyprowadzce Kawy do Japonii unikał ich, uważał je za bezsens i stratę czasu. W przeciwieństwie do ludzi tylko zabawne żarty zasługują na pamięć.